SOBOTA

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 3 7 STYCZNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

NA RATUNEK

Gdy telefonistka na poczcie usłyszy hasło „RATUNEK", łączy natychmiast. I natychmiast startuje samolot lub śmigłowiec warszawskiego Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Jedną z akcji powietrznego pogotowia pokazuje w swym fotoreportażu **JACEK ŁOPUSZYŃSKI** str. 5.

LATAJĄCY SPODEK NA ŚNIEGU

(CAF). To oryginalne schronisko w kształcie „latającego spodka" zostało zainstalowane w pobliżu międzynarodowego obozu Młodzieżowego „Sputnik" w górach Kaukazu w ZSRR. Przeznaczone jest dla narciarzy oraz turystów.

Fot. **CAF-TASS**

BRAWO, RENATA!

STARACHOWICE (HSI). 17 listopada ubr. Miejski Sztab IX Turnieju Wiedzy Obywatelskiej w Starachowicach podsumował pracę zastępów turniejowych. Po zorganizowanej w świetlicy Hufca Starachowice wystawie prac turniejowych oprowadzali najlepsi zastępowi z poszczególnych szczepów. Największym uznaniem obdarzono druhnę Renatę Lisowską ze Szkoły Podstawowej nr 10, która wraz ze swoim zastępem bardzo rzetelnie zrealizowała aż dziewięć zadań turniejowych. Dwa miesiące solidnej pracy nagrodzone zostały satysfakcją i... kompletem szachów, którymi dziewczęta z zastępu Renaty zamierzają rozegrać Szachowy Turniej Bab. **(wm)**

PREZENT MO I PZU DLA HARCERZY

RACIBÓRZ (HSI). Niedawno odbyła się w Raciborzu uroczystość wręczenia 150 harcerzom z drużyn Młodzieżowej Służby Ruchu tzw. kompletów MSR-owskich. Tę miłą niespodziankę sprawiły Inspektoraty PZU i Ruchu Drogowego MO. Jeszcze tego samego dnia, już z „lizakami", harcerze pełnili dyżury na skrzyżowaniach i przy ważniejszych przejściach dla pieszych. **(dak)**

WIECZÓR PAMIĘCI STEFANA STARZYŃSKIEGO

FRANCJA (PAP). W Paryżu, w siedzibie stacji naukowej Polskiej Akademii Nauk, odbył się wieczór poświęcony pamięci Stefana Starzyńskiego – bohaterskiego prezydenta Warszawy z 1939 r. Zjawiło się na nim wielu wybitnych naukowców i przedstawicieli życia kulturalnego, m. in. sławny pianista Artur Rubinstein oraz liczni Polacy, mieszkający we Francji. Takim samym zainteresowaniem cieszy się otwarta tam wystawa poświęcona życiu Stefana Starzyńskiego.

(kl)

A PARASOL ZOSTAWCIE W DOMU!

KOSZALIN (PAP). Gdzie te czasy, gdy to do wiejskiego kina przychodziło się z własnym krzesłem, ba, nawet i z parasolem... Wyglądało to niewątpliwie dość zabawnie, ale było cokolwiek uciążliwe. Na szczęście mamy to już poza sobą. W wielu miejscowościach wczasowych i letniskowych miejsce przypadkowego schronienia X Muzy „pod chmurką" zajęły kina z prawdziwego zdarzenia. Np. na terenie woj. koszalińskiego 17 kin wyposażono w szerokie ekrany i nowoczesną aparaturę. Ponadto w miejscowościach nadmorskich, m. in. w Mielnie i Łazach, powstały kina letnie, a na czas sezonu turystycznego uzupełni je 21 kin ruchomych. **(tem)**

Z aparatem w ręku

LUBLIN (HSI). W grudniu odbyła się w Lublinie wielka wystawa fotograficzna – „Konfrontacje 77". Jej organizatorami były: Wojewódzki Dom Kultury, Fotoklub Zamek oraz oddział historyczny Muzeum Okręgowego w Lublinie. Wśród 90 autorów z całej Polski, którzy nadesłali swoje fotogramy, większość stanowili debiutanci. Wszystkie prace zostały zakwalifikowane na wystawę. Ze względu na ich olbrzymią liczbę prezentowane były w trzech punktach miasta.

Złoty medal otrzymał Lech Kopczyński z Poznania za kompozycję pt. „Szal". Wystawa dała możliwość konfrontacji różnych sposobów wypowiedzi za pomocą fotografii.

Małgorzata Gręca

Tego jeszcze nie było...

NA LITRZE BENZYNY PRZEJECHAŁ 378 KILOMETRÓW!

RFN (PAI). Taką właśnie odległość pokonał skonstruowanym przez siebie trójkołowcem siedemnastolatek Juergen Rapp, uczeń szkoły zawodowej przy Zakładach Daimler-Benz. Pojazd napędzany jest miniaturowym silniczkiem wysokoprężnym, a rekord jest wynikiem konkursu ogłoszonego w RFN na zbudowanie jak najekonomiczniejszego środka mechanicznej lokomocji. Założenie konkursu było proste: skierować uwagę konstruktorów – zwłaszcza młodych – na budowę pojazdów spalających niewiele paliwa i lekkich, a więc pochłaniających jak najmniej surowców.

A może by i u nas ogłosić podobny konkurs? **(jd)**

Warto o tym wiedzieć

NOWY SŁOWACKI SAMOCHÓD

Czterodrzwiowa limuzyna, sylwetką przypominająca francuski Renault 12, pojemność silnika 1500 cm, maksymalna szybkość 180/godz., moc 92 KM – to parametry charakteryzujące pierwszy słowacki samochód osobowy. Charakterystyczne dla nowego samochodu jest umieszczenie silnika w przodzie, w dotychczas produkowanych w Czechosłowacji modelach, poza „Octavią" silnik był z tyłu.

W 1981 r. zjedzie z taśmy montażowej kombinatu samochodowego w Bratysławie pierwszy tego typu wóz. A w trzy lata później zakłady osiągną pełną zdolność wytwórczą i rozszerzą asortyment swojej produkcji. Oprócz wspomnianej limuzyny produkować będą samochody dwu- i trzydrzwiowe w ilości 50 tys. sztuk rocznie, a także 18 tys. furgonetek w różnych wersjach – samochody dostawcze, sanitarne, mikrobusy, wozy meblowe i odkryte półciężarówki.

Rosnąca zamożność obywateli czechosłowackich, sytuacja demograficzna i możliwości eksportowe spowodowały, że na XIV Zjeździe Komunistycznej Partii Czechosłowacji w 1971 r. podjęto decyzję o budowie nowego kombinatu motoryzacyjnego z lokalizacją w Bratysławie. Podejmując tę decyzję KPCz miała na celu rozwinięcie przemysłu słowackiego, który dotychczas był słabiej rozwinięty aniżeli czeski.

W kwietniu 1974 r. wmurowano kamień węgielny pod budowę BAZ – Bratyslavske Automobilowe Zavody. Zakłady powstają na powierzchni 200 ha, 18 km na północny-wschód od stolicy Słowacji. Zatrudniać będą 12 tys. osób. W czasie, gdy budowlani wznosili hale montażowe, budynki spawalni, lakierni i innych wydziałów produkcyjnych, inżynierowie biura konstrukcyjnego BAZ pracowali nad projektem nowego samochodu dla przyszłego kombinatu. Biuro to działa znacznie dłużej, bo już 20 lat, ale pracowało głównie dla potrzeb „Tatry".

Nowy słowacki samochód powstaje w kooperacji z zakładami w Mlada Bolesław, gdzie produkowana jest popularna „Skoda". Stamtąd BAZ otrzymywać będzie silniki dla swych samochodów, a z kolei dla „Skody" produkował będzie podwozia. Skrzynie biegów i układ kierowniczy dostarczać będzie NRD. Trwają również rozmowy z Polską w sprawie kooperacji w dziedzinie niektórych podzespołów. (mj)

Korespondencja własna z Birmy

Kraj nad Irawadi

Jezioro jest duże, z dalekiej linii przeciwnego brzegu wyrastają spore górki. Na tafli wody rozrzucone są małe, płaskie, zielone wysepki. Łódź zbliża się do jednej z nich. Przyglądam się i aż oczom nie wierzę: powierzchnia wysepki wyraźnie faluje...

Towarzyszący mi Myo Thu śmieje się, odczytując na mojej twarzy zaskoczenie.

– To sztuczna wyspa! Wszystkie są takie.

Po kilkunastu minutach wpływamy jakby w ulicę. Po obu stronach naszego szlaku drewniane domy na wysokich palach wystających z wody. Przez duże otwory drzwiowe widać, że mieszkają tu ludzie. Wnętrze jednego z domków świadczy, że to prawdziwy sklep, inny, ze szkła. A na wodzie ruch, jak na śródmiejskiej arterii, tyle że łódki posuwają się dość leniwie.

To, że tu ludzie mieszkają na wodzie, nie dziwi mnie. Jest kilka podobnych miejsc w Azji, np. w Hongkongu lub w Kantonie w Chinach. Ale dlaczego tutaj, skoro Birma ma wiele równin i kraj o powierzchni dwa razy większej niż Polska zamieszkany jest tylko przez ok. 30 mln ludzi? Czemu zakłada się sztuczne wyspy?

Myo Thu wyjaśnia mi: – Tutejsi mieszkańcy to Insa. Przybyli do obecnego stanu Szan przed wiekami z południowej Birmy. Osiedli we wrogim otoczeniu i dlatego wybrali tę wielką dolinę wypełnioną jeziorem Inie, które stało się ich domem i żywicielem. Dla bezpieczeństwa budowali na wodzie tratwy, na które kładli ziemię. I tak uprawiali to, co było im potrzebne do życia.

Wieki minęły, a Insa nie zmienili swych zwyczajów. Przywykli. Ich pracowitość i pomysłowość wyrobiona w ciągu pokoleń w walce z przyrodą zdobyła szacunek w całym kraju...

Następnego dnia znalazłem się w Taungdżi, stolicy stanu Szan. Trafiłem na jakieś święto, bo na ulicach kolorowy tłum. Kobiety – w t a m e i, mężczyźni w l o n c z i o spokojniejszych barwach. Oba stroje noszone prawie w całym kraju składają się tylko z kawałka tkaniny owiniętej wokół bioder na kształt spódnic. Ubiór uzupełniają bluzki lub koszule. Na twarzach dziewcząt tanaka – białokremowy, delikatny puder mający przydawać licu gładkości. Tu i ówdzie widać czarne kaftany, rozszerzające się luźne spodnie i białe turbany. To ludzie z gór, z szańskich plemion.

Mali mnisi buddyjscy

Jeszcze niedawno obecny stan Szan, obejmujący bez mała jedną czwartą Birmy, rządzony był przez 33 feudałów – s a m b w a. Oni posiadali całą ziemię i wszystkie bogactwa naturalne. Po likwidacji władzy kolonialistów brytyjskich i proklamowaniu niepodległości Birmy (1948 r.) sambwa utrzymali prawie nieograniczone przywileje. Ale zaniepokojeni postępowymi hasłami, a przede wszystkim zapowiedzianą reformą rolną (później przeprowadzoną w całym kraju), chcieli utworzyć niezależne państwo. Jak zwykle w takich wypadkach – co dostrzegamy np. dziś w Afryce – zdobyli poparcie sił imperialistycznych, dla których dogodny byłby taki słaby twór na pograniczu Chin, Laosu i Tajlandii.

Zaplanowana operacja nie udała się, jedność Birmy została utrzymana. Ale działania odśrodkowe, i to nie tylko wśród pogrobowców szańskich feudałów, nie ustały. Bo w Birmie obok Birmańczyków zamieszkujących głównie równinę wokół rzeki Irawadi żyje wiele mniejszości narodowych. Obok wspomnianych Szanów są to Kaczinowie, Karemowie, Czinowie, a także Chińczycy, Laotańczycy, Malajowie. Większość mniejszości narodowych ma swoje oddziały zbrojne stale siejące niepokój. Prowadzą one własny handel, bo na ich obszarach znajdują się cenne kamienie i uprawy opium wędrującego stąd przez Tajlandię w świat. Za to mogą kupować broń, a także inne towary. Oblicza się, że 50 proc. tego, co w ogóle wywozi się z Birmy i tam przywozi, przechodzi drogą przemytu. A to z kolei stanowi wielki uszczerbek dla gospodarki kraju.

Birma, niedawno jeszcze kraj kolonialny, ma słabo rozwiniętą gospodarkę. Kiedyś żyła z eksportu ryżu. Ale jego produkcja wzrosła niewiele, zaś liczba mieszkańców podwoiła się. A przemysłu jest niewiele. Przez całe lata produkcja rosła tylko 1–2 proc. rocznie, czy niewiele więcej.

Hamulcem rozwoju były na pewno owe napięcia wynikające z działalności grup mniejszości narodowych oraz sił feudalnych, a także ugrupowań lewackich (najważniejsze z nich to tzw. Biała Flaga, związana ściśle z Chinami). Mniejszości walczą pod różnymi hasłami, siły reakcyjne natomiast nie chcą pogodzić się z reformą rolną, upaństwowieniem przemysłu i handlu zagranicznego.

Ale napięcia to nie wszystko. Negatywnie na rozwój kraju wpłynął pewien izolacjonizm. Władze birmańskie przez całe lata obawiały się rozszerzenia wojny indochińskiej na swój kraj i dlatego unikały bliższej współpracy z innymi państwami, aby nie zostać wciągniętym w konflikt.

W założeniach rządzącej Partii Programu Socjalistycznego można znaleźć hasła socjalizmu (choć w praktyce skończyły się one na posunięciach nacjonalizacyjnych), ale splecione są one z ideami buddyzmu – głównej religii kraju, żywo oddziaływającej na życie ludności. Trzeba pamiętać, że jeszcze niedawno klasztory buddyjskie były jedynymi szkołami dla chłopców.

W stolicy, Rangunie, wśród licznych świątyń wznosi się Szwedagon – Złota Pagoda – święte miejsce dla wszystkich buddystów. Codziennie na tarasach pagody pełnych wyobrażeń Buddy można spotkać licznych wiernych zatopionych w modlitwach i medytacjach oraz dokonujących religijnych ablucji (obmywania ciała). Jako ofiarę wierni (ale tylko mężczyźni) nalepiają na kopułę pagody płatki złota. Nazwa pagody nie jest więc tylko symbolem.

Na północ od Rangunu, na gładkiej równinie na Irawadi, znajduje się Pagan. Na maleńkim obszarze zachowało się tam ponad 2 200 pagód lub ich ruin. W XI–XIII wieku, w okresie świetności królestwa Pagan, było ich tu ponad 5 tysięcy. Do dziś jest to właściwie jedno gigantyczne muzeum, czy raczej naturalny skansen. Niestety, przed dwoma laty w Paganie miało miejsce silne trzęsienie ziemi i ok. 500 zachowanych pagód zostało zniszczonych lub poważnie uszkodzonych. Państwa nie stać na ich odbudowę. Wprawdzie ostatni rok przyniósł zwiększenie dochodów dzięki lepszej pracy przemysłu, ale ten skromny majątek pochłonęły pilne potrzeby gospodarki, szkolnictwa i ochrony zdrowia. Bo rosną nowe pokolenia, którym trzeba zapewnić naukę i pracę, pokolenia, które nie pamiętają kolonializmu i chcą żyć lepiej niż ich ojcowie i dziadowie.

Do tego młodego pokolenia należy mój znajomy z jeziora Inie – Myo Thu. – Widzi pan – powiedział mi na pożegnanie – jaki kraj nasz jest piękny, ile mamy bogactw. Odkryliśmy nowe złoża ropy naftowej, mamy też wolfram, ołów, cynk, cynę, rudę żelaza, węgiel, lasy pełne są cennych drzew tekowych (z drzewa tego wyrabia się m. in. najlepsze meble). W latach niepodległości prawie całkowicie zlikwidowaliśmy analfabetyzm. Pozbyliśmy się wielkich obszarników i kapitalistów. Drogę mamy więc otwartą. Byleby tylko w kraju panowała zgoda i byleby nikt nam nie przeszkadzał.

ZYGMUNT SŁOMKOWSKI

Fot. **archiwum**

Jestem po stronie ludzi

Słyszy się często, że świat współczesny jest zbyt skomplikowany, by prości ludzie mogli mieć wpływ na jego losy, że troskę o nie należy zostawić wytrawnym graczom – wszystkowiedzącym politykom. Słyszy się, że artyści utracili swą zdolność wstrząsania sumieniami narodów, że ich rola ograniczona została przez postęp cywilizacji.

A przecież jest artysta, który występując w imieniu prostych ludzi, nie znając wszystkich tajemnic gospodarki i dyplomacji, sam jeden wpływał mocą swej sztuki na bieg historii. Artysta, którego życie jest przykładem, jak wiele może zdziałać pojedynczy człowiek.

Jest nim zmarły 25 grudnia 88-letni Charles Spencer Chaplin – najpopularniejszy aktor w dziejach kina, którego filmy bawią i wzruszają wciąż nowe pokolenia. Stworzona przez niego postać Charliego – małego włóczęgi w melonika była pierwszym tak pełnym, o prawdziwie ludzkim wymiarze wcieleniem ekranowym.

*Chaplina nie należy utożsamiać z jego naiwnym bohaterem – swoimi filmami budzącymi sympatię i litość dla bezradnego i zagubionego Charliego wyrażał własny światopogląd, kształtował opinię milionów ludzi na całym świecie. Przeciwstawiał się nietolerancji i wyzyskowi, odkrywał marzenia i dramaty wszystkich głodnych i poniżanych, wszystkich walczących o swą wolność i godność. W filmach, których sam był producentem, scenarzystą, reżyserem i aktorem (dzisiaj powiedzielibyśmy, że są to filmy autorskie) stworzył własny gatunek splecionego z liryką humoru, który tak zjednywał mu publiczność. Powiedział kiedyś: **„Wierzę w potęgę śmiechu i łez jako odtrutkę przeciw nienawiści i terrorowi. Dobre filmy przemawiają językiem międzynarodowym, odpowiadają ludzkiej potrzebie humoru, współczucia, wzajemnego zrozumienia. Służą do rozbijania fali podejrzliwości i strachu, która zalewa świat".***

*Bo Chaplin nie był politykiem. Był artystą. Mawiał: **„Wierzę w wolność. To jest cała moja polityka. Jestem po stronie ludzi. To jest moja natura"***

Dowodziły tego filmy takie jak „Charlie żołnierzem", „Brzdąc", „Gorączka złota", „Światła wielkiego miasta", „Dzisiejsze czasy", „Monsieur Verdoux", „Światła rampy" i wiele, wiele innych.

Nakręcony w czasie wojny, a ośmieszający Hitlera i faszyzm „Dyktator", w którym Chaplin po raz ostatni wystąpił w roli Charliego, kończy się apelem małego włóczęgi do całej ludzkości:

„Chciałbym w miarę moich możliwości pomóc każdemu, zarówno chrześcijanom jak Żydom, zarówno ludziom czarnym jak białym... Na świecie starczy miejsca dla wszystkich... W tej chwili mój głos dociera do milionów ludzi. Mówię do tych, którzy mogą mnie słyszeć: nie rozpaczajcie! Nienawiść przeminie i dyktatorzy wyginą. A władza, którą zagarnęli bezprawnie, powróci do ludu. Jak długo ludzie będą umieli za nią umierać, wolność nie zginie".

Przyjmując zaś w 1954 r. w okresie zimnej wojny przyznaną mu m. in. i za ten film Światową Nagrodę Pokoju powiedział:

„W naszej epoce wiedzy atomowej narody powinny pomyśleć o mniej przestarzałych i bardziej konstruktywnych środkach rozwiązywania sporów, niż przemoc. Smutne wysiłki zmierzające do przyzwyczajenia narodów do myśli o wojnie z użyciem bomby wodorowej stanowią zbrodnię przeciw ludzkości i zarzewie powszechnego szaleństwa".

Dzisiaj mamy już bombę neutronową, lecz słowa te nie przestały być aktualne. Tyle, że także również i dzięki Chaplinowi coraz więcej osób na świecie zdaje sobie z tego sprawę.

JULIUSZ GOSTKOWSKI

„HALEMBA" GŁĘBOKA

Moje pierwsze spotkanie z „Halembą" utkwiło mi w pamięci z powodu... pawi. Tak, zaraz za bramą wyszły nam na spotkanie. Należą do „żywego inwentarza" kopalni „Halemba" w Rudzie Śląskiej. Górnicy bardzo je lubią. Jeden z nich jak na zawołanie rozpostarł olbrzymi, mieniący się kolorami ogon i przez dłuższą chwilę pozwolił się podziwiać. Tu pawie, a tam pod powierzchnią ciągnie się cały labirynt podziemnych korytarzy i chodników. Tak się teraz buduje kopalnie. Ładnie i nowocześnie. „Halembę" zbudowano dwadzieścia lat temu, ale dla kopalni to jeszcze młodość. Górnicy wydobywają tu każdego dnia 14 tysięcy ton węgla! Spróbujmy to sobie wyobrazić: w jednym wagonie załadowanym węglem mieści się przeciętnie 40 ton. A więc jeden dzień pracy kopalni – 350 wagonów!

Tak intensywne wydobycie uszczupliło zasoby węgla w eksploatowanych pokładach 385 i 525 m. Upłynęłoby jeszcze kilka czy kilkanaście lat, a zaczęłoby go w „Halembie" brakować. Geolodzy od dawna wiedzieli, że w tym miejscu węgla jest dużo, tylko leży on bardzo głęboko: 1000 m pod powierzchnią. Kilometr w głąb ziemi! Takich kopalń węgla nie budowano jeszcze ani w Polsce, ani na świecie. Głębsze są tylko złotonośne i diamentowe sztolnie w południowej Afryce.

Projekt dojrzewał. Do pokonania została jedna podstawowa trudność. Jak się dostać do węgla, nie zakłócając normalnej pracy kopalni? Ostatecznie specjaliści z Biura Projektów Górniczych w Katowicach znaleźli rozwiązanie: trzeba zbudować dwa nowe, głębokie szyby omijając eksploatowane poziomy, połączyć je chodnikiem i rozpocząć eksploatację. Proste, jak każdy dobry pomysł. Trudniej z wykonaniem, zwłaszcza, gdy robi się coś po raz pierwszy.

Do pracy przystąpiły dwie załogi Przedsiębiorstwa Budowy Szybów w Bytomiu. Jedna – pod kierownictwem **mgr inż. Edwarda Bąka** – rozpoczęła budowę szybu **„Grunwald III"**. Druga, którą „dowodził" **mgr inż. Zbigniew Krzewiński**, miała głębić **„Grunwald IV"**. Obaj inżynierowie są doświadczonymi specjalistami. Edward Bąk np. budował kopalnię nawet w Indiach.

Pierwszy wystartował „Grunwald III", „trójka", jak się tu popularnie mówiło. Praca była bardzo trudna. Najpierw okazało się, że wody jest więcej niż przewidywano. Do głębokości 150 m ciągnęły się skały wodonośne. Trzeba było zamrażać górotwór do temperatury minus 21 stopni. Ale i później budowniczym szybu ciągle przeszkadzała woda – 250 l na minutę! Udało się skierować ten strumień na teren kopalni, ale i tak zostało te 40–45 litrów na minutę. Pracowali w wodoszczelnych ubraniach ochronnych. Temperatura na głębokości 350 m sięga 34 stopni. Na 1100 – już 44! Prawdziwa łaźnia parowa. Człowiek jest mokry. Nie wiadomo czy od wody, która kapie za kołnierz czy od potu? Górnicy, którzy będą kiedyś tu pracować, już tego nie odczują. Na dole będzie klimatyzacja.

Najcięższa robota była przy wierceniu otworów strzałowych. Dziesięciu, dwunastu ludzi na dnie wykopu pracowało przy użyciu wiertarek ręcznych. Przeraźliwy hałas. Nie pomogły nawet zatyczki w uszach. Do 4-metrowych otworów zakładało się ładunki wybuchowe. Na powierzchnię! Wyjeżdżali w wielkich transportowych kubłach. Takie „wiaderko" ma – bagatela! – 5 lub 6 metrów sześciennych. Potem odstrzał, usunięcie około 300 m sześciennych skały, betonowanie. Tak wyglądał jeden cykl produkcyjny.

Czy były momenty niebezpieczne? Już poniżej 2 m zaczyna się strefa ryzyka, a co dopiero na takiej głębokości. Ale było to ryzyko planowane i dobrze obwarowane ostrożnością. Np. „uskok" to miejsce, w którym panuje zawsze tektoniczny niepokój. Był taki uskok na głębokości około 340 m. Byli więc bardzo ostrożni...

Trwało przyjacielskie współzawodnictwo dwóch zespołów „trójki" i „czwórki". I obie załogi osiągnęły sukces. Budowniczowie „Grunwaldu III" ukończyli swój szyb 7 miesięcy przed terminem. Ich koledzy z „czwórki" wzięli takie tempo, że na pewno pobiją ten rekord. Na razie nie wiadomo o ile, ale nie jest to w końcu takie ważne. O wiele ważniejsze jest to, że „Halemba", zwana głęboką, szybciej osiągnie pełną moc produkcyjną. A oznacza to 24 tysiące ton węgla dziennie. I to jest sukces. Gdy brygada przodowego Kima Klimowicza stanęła na głębokości 1112 m w szybie „Grunwald III", cieszyli się jednakowo i koledzy z „trójki", i „konkurenci" z „czwórki".

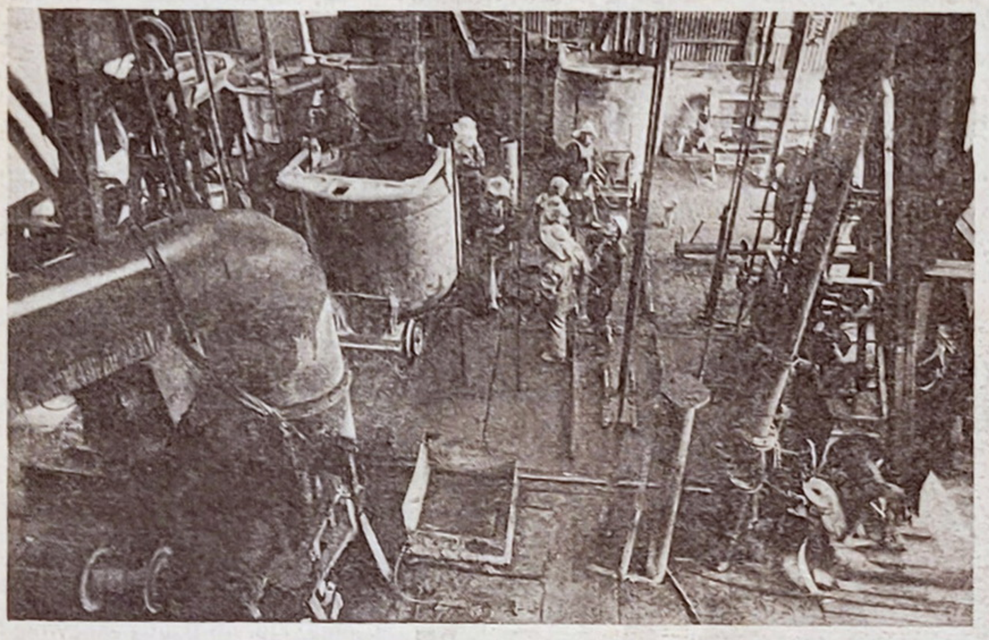

ANNA NIWIŃSKA

Fot. **Józef Wróbel**

TO NASZ HEJNAŁ, HASŁO I ZEW „GAWĘDA"

Był rok, praski rok 52.
I Żaczek, co grał
Właśnie wtedy się zaczęło...

Właśnie wtedy się zaczęło. Gromada dziewcząt i chłopców chciała stworzyć teatr. Własny. Dzieci – dzieciom. Druh Andrzej Kieruzalski tak wspomina ten ważny dla „Gawędy" moment: *„Na początku, w 1952 roku, kiedy byłem studentem ASP, utworzyłem zespół z dzieciaków z klas czwartych i piątych. Byliśmy wtedy na Pradze, na Siedleckiej".*

Jedną z pierwszych sztuk, która narodziła się na Siedleckiej był „Żaczek – Szkolaczek". Związane z tym emocje, gdy powstawały pierwsze lalki, wspomina się z sentymentem do dnia dzisiejszego. Każdy żył teatrem i natychmiast po odrobieniu lekcji biegł do pracowni, aby podzielić się nowym pomysłem lub uczestniczyć w dyskusjach, a nawet kłótniach, w wyniku których przedstawieniu przybywały nowe elementy. Przez cały czas przewodnikiem po wszystkich zakamarkach sztuki, tej małej, wystawianej, i tej przez duże „S", był druh. Uczył nie tylko piosenek, posługiwania się pędzlem i majsterkowania, ale także uczulał na rolę sztuki w życiu młodego człowieka.

Pierwsze występy i wielka trema. Publiczność i aktorzy w tym samym wieku. Przedstawienia były przyjmowane z wielkim entuzjazmem. Zachwyty wychowawców, rodziców i kolegów dodawały odwagi młodym wykonawcom. Rodzina „Gawędowej" trzynastki zaczęła rozrastać się. Coraz więcej młodzieży chciało uczestniczyć w tworzeniu przedstawień. Nowe pomysły, ich realizacja i występy. Tak w skrócie telegraficznym można powiedzieć o codziennej pracy harcerzy ze 170 drużyny im. Stanisława Wyspiańskiego.

Dużym przeżyciem dla „Gawędziarzy" była przeprowadzka do Pałacu Kultury i Nauki. „Gawęda" dostała do swojej dyspozycji dwa pokoje. Jeden – pracownia lalek. Wielkie szafy mieszczą kukiełki z dawnych sztuk, z którymi przecież nie można się rozstać. Na ścianach pozawieszane są te najukochańsze. Najmilej wspominana pacynka Żaczek – Szkolaczek wita wchodzących. W tej sali, zaraz przy drzwiach wejściowych do królestwa „Gawędy", jest kąt najważniejszy dla wszystkich uczestników. Wisi tam rozkład zajęć. Ważne terminy na czerwono. Dzień i godzina występu, gdzie i dla kogo. Jest tu miejsce na zmieniające się plansze z projektami lalek i ubrań dla „Gawędziarzy" na występy. Każdy wyraża swoją opinię stawiając „+" lub „–". Można też zawiesić swoje propozycje.

W odróżnieniu od sali roboczej, druga ma charakter odświętny. Jeden kąt jest zajęty przez ścięte pnie-siedziska. Przywiezione kiedyś z obozu, są wspomnieniem wakacyjnych przygód, ognisk. Jeszcze wokół snuje się „Księżycowa Piosenka jak melodia ze snu obudziła się w nas już tu..." Pokój zdobią upominki otrzymane z okazji różnych występów w kraju i za granicą. Na honorowym miejscu, tuż przy pniach, wisi zwykła listwa, na której każdy członek zespołu wiesza swoją tarczę szkolną ze zdjęciem. Wielu starych „Gawędziarzy" już odeszło, a tarcze są i przypominają... Tutaj zbierają się na ważne narady i wspominki, aby jeszcze raz wycyzelować piosenkę, i na rozmowy poważne i wesołe.

Atmosfera wytworzona przez zespół przekonuje, że dla nich praca jest zabawą i zabawa pracą. Jest to niezbędne przy opracowywaniu nowej piosenki, tańca, które na scenie, w czasie spektaklu, trwają zaledwie kilka minut, a przygotowywane są długie tygodnie.

Najważniejszym momentem dla każdego młodego „Gawędziarza" jest uroczyste przyjęcie go do zespołu. Odbywa się to na spotkaniu przy świecach wszystkich członków „Gawędy". W odświętnych mundurach czekają na pierwsze solowe występy nowych. Młodzi sami aranżują całe przedstawienie. Przeplatają się piosenki, poezja, skecz. Druh jest dumny, że ci najmłodsi już przez ten krótki okres próbny podejrzeli, jak pracują starsi koledzy. Słuchali ich rad i dyskretnych uwag. Po „koncercie debiutów" druh pasuje najmłodszych na „Gawędziarzy". Wszyscy znają 13 przykazań i przyrzekają je przestrzegać. Potem jak zwykle piosenki, dyskusje, wspomnienia. Tak podniosły nastrój przeradza się w normalną rodzinną atmosferę, która zawsze towarzyszy imprezom. I każdy, kto znalazł się po raz pierwszy w zespole, nie czuje się tu obco. Ma wrażenie, że uczestniczy w czymś mu bliskim i znajomym. Ten nieuchwytny czar spotkań został wtopiony w słowa jednej z piosenek:

Twoje smutki naszymi smutkami
A śmiejemy się razem, to wiesz,
I nam wszystkim jest dobrze tu z wami
Czasem źle, ale źle razem też...

Zaklęty krąg wybiega poza mury siedziby „Gawędy". Starsi odchodzą w świat dorosłych, ale zawsze znajdują chwilę czasu, aby zobaczyć, co się dzieje w drużynie. Dla nich młodsi koledzy dają występy nie tylko z okazji jubileuszy. Chcą pokazać, że tak samo jak dawniej, dla starszych kolegów, tradycja pracy i zabawy nie zaginęła w „Gawędzie". A seniorzy lubią siąść wokół druha i powspominać, zaśpiewać i posłuchać o nowych planach drużyny. A dlaczego? Na to pytanie odpowiedział też piosenką jeden z najstarszych „Gawędziarzy":

Gdy jesteśmy z dala od „Gawędy"
Smutno płyną dni
Lecz piosenka przypomina zespół nam...

Nie tylko zespół, ale także sprawy, które zawsze były i są ważne, łączą wszystkich byłych i teraźniejszych członków zespołu. W dużej mierze jest to zasługa druha Andrzeja Kieruzalskiego, który już przez 25 lat wychowuje i wprowadza w życie nowe rzesze „Gawędziarek i Gawędziarzy".

Jedna z „GAWĘDZIAREK"

AGNIESZKA DMOWSKA

Fot. **K. Adamowski**

REDAKCYJNA POCZTA

Trzeba wyzbyć się egoizmu

W „Redakcyjnej Poczcie" ze 149 n-ru „ŚM" zamieszczony był list Elizy, która twierdzi, że nie wierzy w prawdziwą miłość. Uważa, że młodsze nastolatki okłamują same siebie pisząc do redakcji o swoich sympatiach. Ja natomiast sądzę, że listy o miłości mogą być prawdziwe. Przecież nie wszyscy chodzą ze sobą tylko po to, aby zaimponować innym. Niektórzy na pewno się kochają. To, że Eliza nie ma lub nie potrafi znaleźć sobie prawdziwego przyjaciela nie znaczy, że jej rówieśnicy nie przeżywają miłości. Chłopak i dziewczyna darzący się tym uczuciem powinni wyzbyć się egoizmu. Miłość nie ogranicza się przecież do pocałunków, chodzenia do kina czy na dyskotekę. Ci, którzy kochają się, powinni razem przeżywać kłopoty i radości. Wtedy uczucie jest na pewno prawdziwe.

Marek

Danuta Bacharz, ul. Ogrodowa 12a/10, 47-400 Raciborz, lat 15, interesuje się lekkoatletyką. Chce nawiązać korespondencję z uczniami szkół sportowych.

Mój pomysł na prywatkę

Przeczytałam list Kasi „Prywatka na medal" i postanowiłam przyjść jej z pomocą. Zacznijmy więc od pomieszczenia, które nie powinno być zatłoczone. Stół najlepiej postawić w rogu pokoju lub pod ścianą – będzie spełniał rolę bufetu. Ważną sprawą jest oświetlenie. Miły nastrój dają świece. Powinnaś przygotować dużo napojów (pepsi, soki, kompot, a później herbata). Kanapki ułóż na talerzykach przybranych sałatą, owoce w koszyczku, a w szklankach słone paluszki. Słodyczy powinno być niewiele. Tyle o zimnym bufecie. Ustal koniecznie jak długo ma trwać prywatka. Lepiej rozpocząć zabawę wcześnie i skończyć ją niezbyt późno, aby wszyscy mogli być do końca. Ważną sprawą jest dobór gości. Wydaje mi się, że lepiej zaprosić równą liczbę dziewcząt i chłopców, wtedy wszyscy będą się dobrze bawić. Muzykę radzę dobrać w ten sposób, aby wolniejsze melodie przeplatały się z szybkimi. Wówczas nikt nie będzie zbyt zmęczony. Możesz też zorganizować różne konkursy, np. taniec z balonikiem. Przywiązuje się go do nogi tancerki. Para, której balonik pęknie, przegrywa. Pamiętaj też o tym, że nastrój zależy w dużym stopniu od gospodarza domu. Powinnaś więc dla wszystkich swoich gości być miła i serdeczna. Myślę, Kasiu, że wtedy prywatka będzie naprawdę na medal.

Bożena

Brak zaufania

Jestem uczeniem szkoły podstawowej we Wrocławiu. Moje hobby to korespondencja z rówieśnikami z różnych krajów świata. Mam jednak zmartwienie, które polega na tym, że moja mama otwiera listy adresowane do mnie. Robi to, gdy jestem w szkole. Czy jej postępowanie jest słuszne? Poradźcie jak zapobiec tym dziwnym zwyczajom?

Artur

OD REDAKCJI: Poruszony problem powinieneś koniecznie przedyskutować z mamą. Z pewnością obojgu Wam zależy, by mieć do siebie zaufanie. Po co więc w ten sposób go podważać? My opowiadamy się oczywiście za zachowaniem tajemnicy korespondencji!

(ms)

RÓD Z SZABLĄ W HERBIE

Mogę postawić piętę, albo unieść ją ku górze. Czy to ma jakieś znaczenie? Na planszy stary rutyniarz wywnioskuje z tego, co chce zrobić przeciwnik. Albo odległość: podejdziesz za blisko, to nic nie uratuje cię przed trafieniem. Będziesz za daleko, obronisz się, ale i twój atak może być łatwo odparowany. Młodzik na planszy nie zauważy takich drobiazgów, da się zaskoczyć. Dobrze jeśli pamięta zasadę, którą każdy trener szermierki do znudzenia wbija do głowy swoim wychowankom: jeśli wszystko wskazuje na to, że przeciwnik chce ci np. zadać cios w głowę, to uważaj, chce cię zmylić, na pewno uderzy gdzie indziej. Przegapiłeś – przegrałeś. Jak w życiu.

Taka jest szermierka: elegancka i wyczerpująca, błyskawiczna i błyskotliwa, skupiona i wyrafinowana w dziesiątkach wyćwiczonych do perfekcji ciosów i zasłon, gwałtowna, pełna żywiołowej fantazji, improwizacji.

Ulica Tanács przecina centrum Budapesztu. Numerem 9 oznaczo-na jest stara, niczym nie wyróżniająca się czynszówka. Wąska brama. Odrapaną klatkę schodową rozjaśnia wątłym światłem żarówka zwisająca na długim drucie. Tylko dzięki temu można odczytać małą tabliczkę: Budapesti Vasaltes Sportklub – budapeszteński klub sportowy kolejarzy.

Halę sportową zrobiono z całego piętra budynku. Rozebrano ścianki działowe i powstało nieregularne, niskie pomieszczenie. Tłok. Jednocześnie ćwiczy kilkunastu młodych zawodników.

– Gerevich? O, stoi tam, to ten starszy pan w brązowej kurtce. Dziś jest on na Węgrzech symbolem szermierczych zwycięstw zawodników tego kraju, sukcesów trwających po dziś dzień. Latem tego roku z mistrzostw świata w Buenos Aires wrócił ze złotymi medalami 29-letni Pál – młodszy syn Aladára Gerevicha.

O rodzinie

Ale nie tylko Pál ma sukcesy, starszy György też był mistrzem. Erno Bogáti, moja żona, 4 razy startowała w drużynie, która zdobyła drużynowe mistrzostwo świata; z olimpiady w Los Angeles przywiozła brązowy medal, wygrywała w Europie, była mistrzynią Węgier.

Jej ojciec walczył w szermierczej reprezentacji Węgier na olimpiadzie w Amsterdamie.

27 złotych medali z igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata – taki jest sportowy dorobek rodziny Gerevichów.

Sagę rodu trzeba by było zacząć gdzieś na przełomie wieków. W cesarsko-królewskim Miszkolcu ojciec Aladára próbował swych sił jako szermierz. Wtedy nie było jeszcze zawodów, mistrzowskich turniejów, specjalnego sprzętu. Szermierka nie była jeszcze sportem.

O początkach

Wielcy mistrzowie tak często opowiadają o początku swojej kariery: przyszedłem na trening i od razu się na mnie poznali; albo: krążyłem, krążyłem po różnych dyscyplinach, tego próbowałem, tamtego, aż w końcu trafiłem na to, co mi najbardziej odpowiadało.

Aladára na trening przyprowadził ojciec. Chłopak miał wtedy 14 lat. W rok później był już zawodnikiem. Karierę zakończył w roku 1960. 35 lat treningów, zawodów, turniejów; setki, tysiące pojedynków. Łatwych, takich, co to formalnością było wyjście na planszę. I tych trudnych, targających nerwy, zaciekłych, wymagających maksimum sił i koncentracji. I były w tym czasie wspaniałe przeżycia, niezapomniane chwile sukcesów.

Zdobył 7 złotych medali olimpijskich, 14 razy był mistrzem świata, 6-krotnie mistrzem Węgier. Był najlepszy w szabli i we florecie. Teraz, już na emeryturze, zaczął trenować innych.

– Lubię to! – odpowiada krótko, gdy usiłuję się dowiedzieć czegoś więcej o jego pracy z młodzieżą.

– Gdy György skończył 14 lat, po raz pierwszy zaprowadziłem go na trening szermierczy, dwa lata później, gdy do tego wieku dorósł Pál, i on stanął na planszy. Czy namawiałem ich do szermierki? Do sportu nie można nikogo nakłonić. W domu były sportowe tradycje, a ja, nie ukrywam, chciałem mieć następcę. Ale chłopcy próbowali swych sił w innych dyscyplinach. Gdy wybrali szermierkę, sam zająłem się ich treningiem, nigdy nie oddałbym ich w obce ręce. Dziś György jest trenerem i jest tutaj na tej sali. Pracujemy razem.

O pilności i kryzysach

Tuż obok nas wysoki, szczupły chłopak trenuje zapamiętale. Balans ciałem, kilka kroków i rzut do przodu w ataku na własny cień.

– Stale za wolno i co tak odstawia łokcie – komentuje Gerevich – ale w końcu zrobi to dobrze. – Kiedyś – wraca do przerwanej opowieści – zobaczył mnie na treningu Gustavo Marci. To była sława, pięciokrotny mistrz świata we florecie. Powiedział mi wtedy, że gdybym mocniej poćwiczył, to dużo większe sukcesy odniósłbym w tej broni. Może to była prawda, może nie. Ale fakt jest faktem – chcesz zwyciężać, musisz pracować. Prawda oczywista, ale stale trzeba o niej przypominać. Talent, warunki fizyczne są bez znaczenia, gdy zabraknie wytrwałości na sali ćwiczeń. Pál był dużo mniej błyskotliwy niż György, nie tak efektowny na planszy. Wolniej piął się do czołówki. Ale był sumienny, trening miał trwać dwie godziny, a on przedłużał go sobie do trzech. To może nawet lepiej, gdy trzeba dłużej czekać na sukcesy. Tak można się nauczyć cierpliwości, odporności nerwowej.

Załamanie przychodzi nie wiadomo skąd. Ja tylko na krótko miałem dość szermierki. Zdarzyło się, że byłem rozgoryczony tuż po walce, w której coś mi się nie udało, poślizgnąłem się w czasie decydującego ataku. Złościłem się, a potem mówiłem sobie: „jeszcze zobaczymy, jeszcze pokażę". A György zrezygnował nieoczekiwanie; zdobył mistrzostwo, może za szybko do niego doszedł. A potem zaczął mieć dość ciągłych wyjazdów, tygodni spędzonych na zawodach, w samolotach, w pociągach, w ciągłym napięciu. Został trenerem.

O szermierce

Czy się zmieniła? A co się nie zmieniło przez dwadzieścia, trzydzieści lat?! Ale to trzeba zobaczyć – mówi Gerevich biorąc do rąk szablę. I nagle, gdy nasuwa na twarz maskę, staje się kimś innym, jest cały pochłonięty krótką treningową walką.

Fot. **Gábor Gámán (Pajtös)**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Orka z Vancouver

INTELEKTUALISTKA OCEANU

Oceanaria cieszą się na całym świecie coraz większym powodzeniem. Są zarazem placówkami naukowymi i wodnymi cyrkami. Przedstawiamy Wam jedno z najbardziej znanych – Akwarium Oceaniczne w Vancouver – Kanada.

13 lipca ub.r. urodził się tu wieloryb. Jest to pierwszy w świecie przypadek narodzin w niewoli białego wieloryba arktycznego zwanego też belugą lub białym waleniem. Mały po urodzeniu miał 120 cm długości i ważył 34 kg. Jego matka – „Kavna" – została schwytana u ujścia rzeki Churchill. Przez pierwsze tygodnie życia mały był pod stałą obserwacją naukowców i pracowników Akwarium. Kiedy okazało się, że rozwój przebiega pomyślnie, przeniesiono go do otwartego basenu, gdzie wraz z matką przyjmuje teraz wizyty rzesz turystów i naukowców zjeżdżających do Vancouveru z całego świata.

Sławna już dziś beluga nie jest jedyną atrakcją vancouverskiego oceanarium. Można tu obejrzeć 4,5 tysiąca przedstawicieli ponad pięciuset gatunków morskich zwierząt – rekinów, ryb elektrycznych, ośmiornic (brrr!), rozgwiazd, krabów, ostryg, krewetek, 700-letnich żółwi, krokodyli, jaszczurek i wielu innych.

Najwięcej publiczności gromadzą jednak odkryte baseny. Królują tu wydry morskie, foki, delfiny, belugi i orki, których popisy są gwoździem każdego programu w Akwarium.

Orka to niezwykle ciekawy, będący ciągle zagadką dla zoologii gatunek wieloryba. Brytyjczycy nazywają ją „wielorybem-mordercą", Francuzi „morskim tygrysem", a wielu naukowców „intelektualistą oceanu". Jest najbardziej drapieżna i niebezpieczna ze wszystkich wielorybów. Porównywana jest czasami do wilków – grasuje stadami, atakując wszystkie, nawet większe od siebie zwierzęta morskie. Jednocześnie jest doskonałym pomocnikiem wielorybników. Orki otaczają stado wielorybów i naganiają je w zasięg armatki miotającej harpuny. Gdy jeden z wielorybów zostanie zraniony, orki wsuwają się pod jego brzuch, aby nie mógł się zanurzyć i uciec. Kiedy wieloryb zostanie zabity, orki nie od razu go oddają, najpierw wyrywają mu język – trofeum łowieckie? – i dopiero wówczas porzucają go i wielorybnicy mogą przejąć swój łup.

Do dziś nie wiadomo co skłania orki do współpracy ze statkami i co powoduje, że te krwiożercze, będące postrachem oceanów zwierzęta, żywią tak przyjazne uczucia w stosunku do ludzi.

W 1964 roku w zatoce koło Vancouveru schwytano orkę – samicę i umieszczono ją w akwarium. „Moby Doll" – tak ją nazwano – zachowywała się bardzo łagodnie, szybko zaprzyjaźniła się z opiekunami i nie protestowała, kiedy poddawano ją przeróżnym badaniom. Przez kilka miesięcy dopominała się o pokarm, rosła i nie wykazywała żadnych oznak przygnębienia, aż nagle na jesieni zaczęła kaprysić, straciła apetyt, odmawiała przyjmowania posiłków. Wreszcie któregoś dnia opuściła się na dno basenu i tak już pozostała nie odpowiadając na wezwania. To samobójstwo stało się nową zagadką dla zoologów i jeszcze jedną, dotąd nierozwiązaną tajemnicą orek.

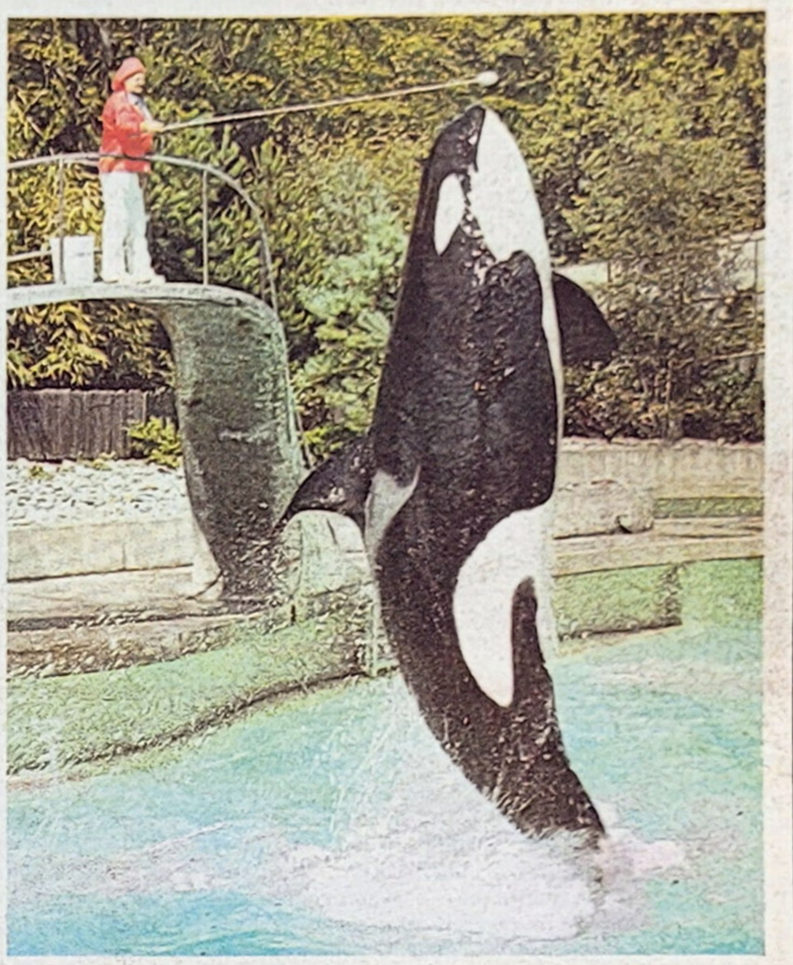

Tańczący wieloryb czyli orka w całej okazałości. Za każdą „sztuczkę" należy się nagroda – orka je z ręki

W Akwarium w Vancouverze żyją dwie orki – dorosła „Skana", będąca gwiazdą pokazów i młody „Hyak", którego romantyczne zaloty „gwiazda" podobno stale odrzuca, oddając się z całym zapałem nauce coraz to nowych ewolucji prezentowanych w programach.

Widzowie, którzy przed pokazem obserwowali z trybun „Skanę" są zaskoczeni metamorfozą jaka się w niej dokonuje po rozpoczęciu przedstawienia. Komendy trenera, bezwładne, kołyszące się na wodzie ogromne cielsko, zmienia w dynamiczną i zwinną „tancerkę". A przecież wielkością niewiele różni się od naszego poczciwego „Jelcza"; „Skana" wyskakuje na wysokość 6 m ponad wodę, wykonując obroty, fikołki i inne nieprawdopodobne ewolucje. Wszystko pod kierownictwem trenera, który stojąc na brzegu basenu gestami rąk przekazuje jej polecenia. „Skana" się „śmieje" – bo do śmiechu można przyrównać dźwięki wydobywające się przez otwory oddechowe. Niespodziewanie wali potężnym ogonem o powierzchnię wody celowo bryzgając fontanną wody na publiczność. Jej płetwa ogonowa jest tak silna, że „Skana" potrafi poruszając nią przebyć całą długość basenu „na stojąco" kiedy ciało jej w pozycji pionowej znajduje się nad wodą, a robi to z niewiarygodną lekkością i wdziękiem. Trudno też uwierzyć własnym oczom pod koniec przedstawienia gdy 9-metrowy czarno-biały kolos wynurza się z wody i zbliżając swój ogromny pysk do głowy trenera – delikatnie całuje go w policzek. Dodatkową atrakcją jest jeszcze możliwość obejrzenia orki poprzez szklaną ścianę basenu. „Skana" wie, że jest obserwowana, przepływa wzdłuż ścian, a gdy przystaje i na chwilę przytyka pysk – najeżony ostrymi zębami paszczę – do szyby, stojący najbliżej ludzie cofają się z nieukrywanym przestrachem.

Wielu z nich zostanie na następnym pokazie, w którym dodatkową atrakcją są delfiny; nie stanowią one jednak konkurencji dla „Skany" bo dzięki telewizji publiczność oswoiła się już z ich popisami. W Akwarium króluje orka i zachwyca nie tylko tych, którzy widzą ją po raz pierwszy, ale i stałych bywalców przychodzących tu w każdy weekend.

KATARZYNA SZERMAŃSKA

Fot. **Jacek Żakowski**

Beluga – tymczasowa królowa Akwarium – chętnie pokazuje turystom swój uśmiechnięty pysk. Mały jest bardziej „wstydliwy" i można go zobaczyć tylko przez podwodne okno basenu

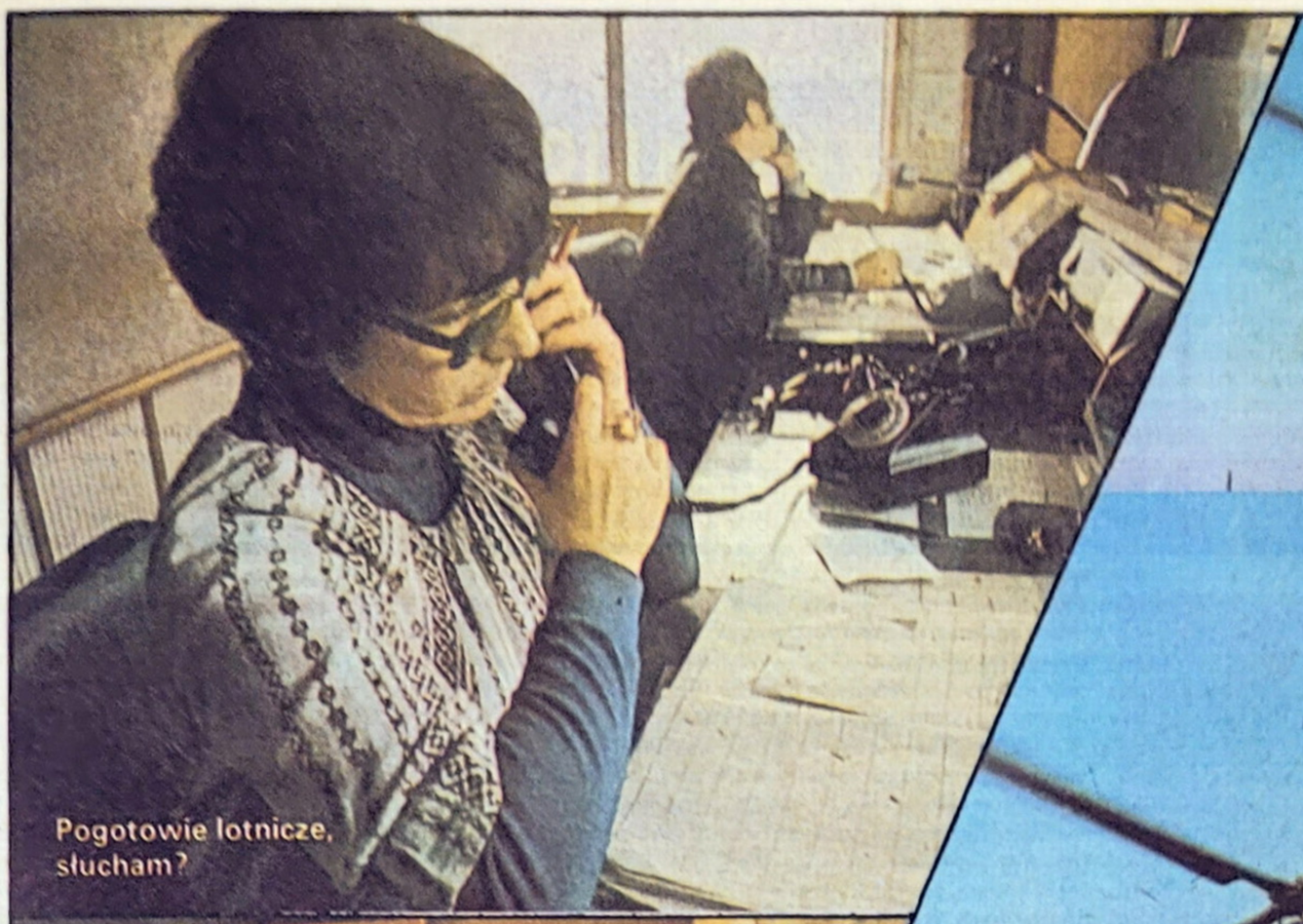

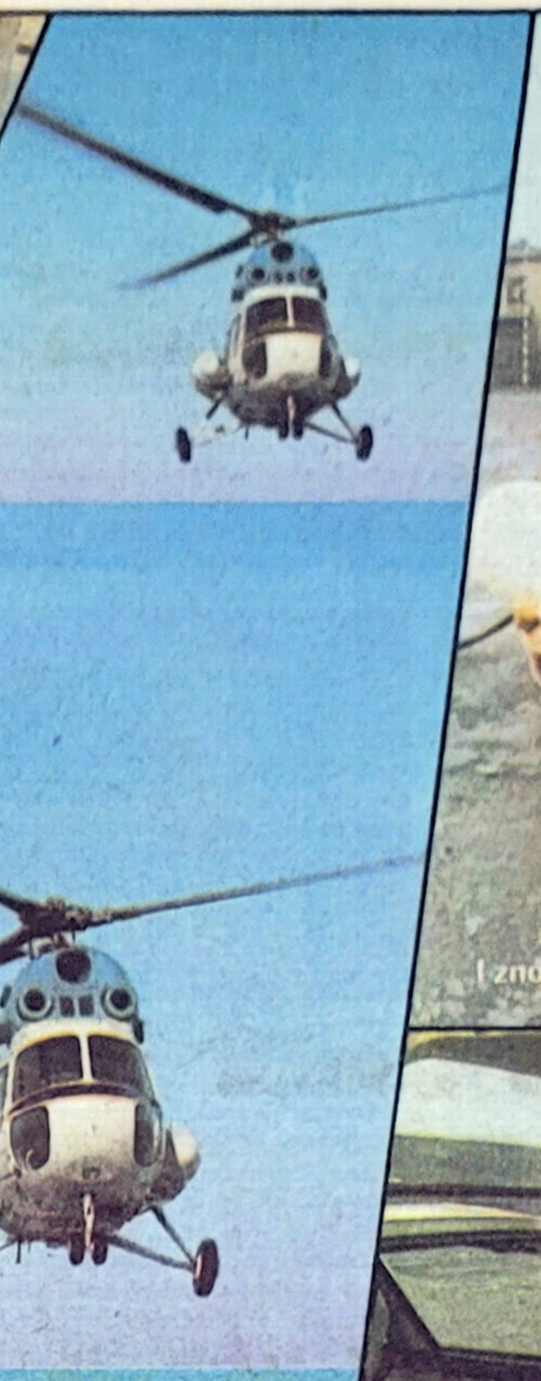

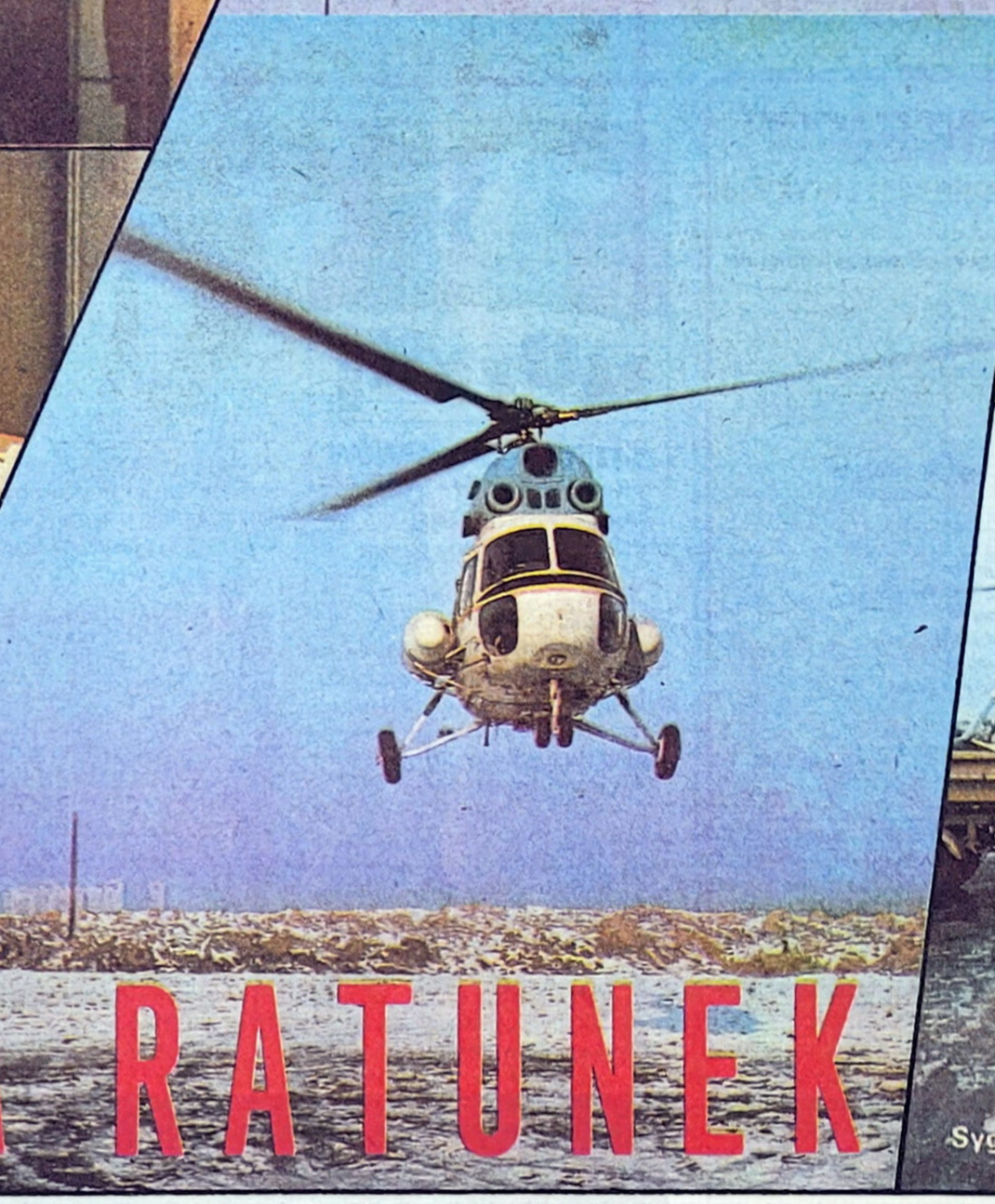

Fotoreportaż
JACKA
ŁOPU-
SZYŃ-
SKIEGO

NA RATUNEK

Siergiej Hazanow

Lubię ich wszystkich

Jestem absolutnie normalnym dzieckiem, nie posiadającym żadnych uzdolnień. Ale o tym, na moje nieszczęście, wiem tylko ja jeden. Rodzice uważają, że jestem cudownym dzieckiem. Nic w tym dziwnego, teraz jest to w modzie. Z tego właśnie względu tata i mama przez całe życie zmuszają mnie do potwierdzania swych nadziei. Ojciec marzył, iż kiedyś będzie tej miary fizykiem, co Newton. Niestety, został zwykłym inżynierem.

– Starszym inżynierem – poprawia ojciec w chwilach, gdy rozmawiamy na te tematy. – Ale za to ty – mówi mamie – chciałaś kiedyś grać I Koncert Czajkowskiego na fortepianie z orkiestrą, a potrafisz – tylko walca i to myląc się już po drugim takcie.

– Tak, ale ja mam syna! – dumnie odpowiada mama.

– A ja? – pyta mamę ojciec.

Aby rozwijać moje uzdolnienia, ojciec ulokował mnie w szkole matematyczno-fizycznej. Natomiast mama codziennie odprowadza mnie na lekcje muzyki, na których na razie gram na fortepianie, bez orkiestry. Ale to jeszcze nie wszystko.

Kłopot w tym, iż moja babcia całe życie marzyła o tym, aby jej córka została mistrzynią w jeździe figurowej na lodzie.

Teraz w roli mistrza widzi babcia wnuka. Dlatego muszę z babcią chodzić na lodowisko. Dziadek natomiast myślał, że zostanie artystą malarzem. Na swoje nieszczęście został – mężem babci.

Kiedy nauczycielka niezbyt pochlebnie wyraża się o moich postępach na niwie muzyki, mama zaraz krzyczy na ojca:

– No, cóż w tym dziwnego. Przecież syneczek wdał się w kochanego tatusia. To przecież tobie słoń nastąpił na ucho!

– A to niewątpliwie objaw twego geniuszu! – odparowuje cios ojciec posługując się moim dzienniczkiem z kolejną dwójką z fizyki.

– Wszystko mi jedno. Mów, co chcesz, ale mój syn będzie jeszcze wielkim muzykiem.

– Żebyś ty była taka wytrwała trzydzieści lat temu – mówi mamie babcia. – Może doszłabyś teraz do czegoś...

Lubię ich wszystkich. Wiem, że życzą mi dobrze i chcą dla mnie jak najlepiej. Z tego względu nie chciałbym nikomu robić zawodu. Ale nie mogę być jednocześnie wybitnym fizykiem i znakomitym muzykiem, i doskonałym sportowcem, i... jeszcze do tego nieprzeciętnym artystą malarzem. Tym bardziej że jestem jeszcze absolutnie normalnym dzieckiem i nie posiadam nie tylko żadnych uzdolnień, ale i zapału do tych wszystkich zajęć. Jedyne, co mi się nadal podoba, to budowanie z piasku niezwykłych domów i zamków. Niestety, swoich budowli nie mogę nikomu pokazać. Tak się w naszej rodzinie złożyło, że nikt nie marzył o tym, aby zostać architektem.

Przekład: **WALDEMAR ŁASZKIEWICZ**

5 MINUT Z ANKĄ

Jestem... wstrząśnięta. Autentycznie. Podejrzewam zresztą, że nie tylko ja, ale co najmniej parę jeszcze innych osób. Prawdę mówiąc, to nie wiem, czy Marta przypadkiem nie żartowała, bo uwierzyć – jest trudno. Chociaż... mówiła wszystko z taką poważną miną.

Na ostatniej godzinie wychowawczej, przedwczoraj więc wszystko dobrze pamiętam. Temat tej godziny był futurologiczny – każdy wywnętrzał się, kim chce w przyszłości zostać i do jakiej szkoły się w związku z tymi planami po ukończeniu ósmej szkoły wybiera. Banalna rzecz. Cała klasa wie, że tak naprawdę, to zdecydowane są wszystkiego trzy osoby, a reszta wybiera się na wszelki wypadek do ogólniaka, aby problem przez kolejne cztery lata dokładniej przemyśleć. Coś oczywiście trzeba w takiej sytuacji powiedzieć, żeby na głupka ostatniego nie wyjść, więc jeden mówił, że chce być chemikiem, inny, że inżynierem-architektem, kolejny, że nauczycielem itd... Wszystko szło jak po maśle, pani uśmiechała się i notowała nasze wywnętrzenia zadowolona, że nikt rozterek nie ma i do psychologa wysyłać nikogo nie trzeba, wyglądało na to, że skończymy 20 minut przed dzwonkiem, aż tu nagle...

Marta zaczęła inaczej niż wszyscy. Że ona, owszem, co do przyszłego zawodu to jest jak najbardziej zdecydowana, tylko, że kłopot ma kolosalny z wyborem szkoły, bo pojęcia nie ma, gdzie się taka szkoła znajduje. Nawet informator, taki ogólnopolski, przewertowała i... nic, nie znalazła. Pani przyoblekła się w uśmiech pt. „Słucham, dziecko, ja ci we wszystkim pomogę" (w końcu jedną osobę z klasy do psychologa wysłać, to nawet w dobrym tonie), myśmy uszami zastrzygli, bo Marta osobnik raczej nieciekawy, a tu, patrzcie, ona już wie, kim chciałaby zostać.

Rewelacji nie wymyśliła – aktorkami to połowa dziewcząt z całej szkoły chciałaby być. Ale druga część pomysłu brzmi już bardziej interesująco. Otóż Marta poszukuje... zasadniczej zawodowej szkoły aktorskiej. Bo stopnie ma słabe i nie sądzi, żeby do średniej miała szansę się dostać. Konkurs świadectw i w ogóle – poziom wysoki, potem maturę trzeba zdawać. A Marta bynajmniej nie marzy o tym, żeby zbyt długo się uczyć. Jeszcze dwa lata, najwyżej trzy i – drżyj Hollywoodzie!

Uśmiech spełzał pani z twarzy w bardzo szybkim tempie. Ale to nieważne. Ważna była dyskusja potem, na przerwie. Zaczęła się od chichotów. Skończyła... kolosalną kłótnią: co lepiej – myśleć głupio, czy nie myśleć wcale?!...

ANKA

NOWE PŁYTY TONPRESSU

Tonpress działa szybko i skutecznie. Oto najnowsze propozycje tej firmy: BLACK BLOOD („Amanda"), Black Blood (Czarna Krew) to para amerykańskich wokalistów; Thombi – modelka i Steve – były kucharz prezydenta Mobutu. Debiutowali na rynku belgijskim. Hot chocolate („So You Win Again"). Tej brytyjskiej grupy reklamować chyba nie muszę, ma wielu zwolenników w naszym kraju. Przypomnę tylko, że „So You Win Again" to bodaj największy przebój „Gorącej Czekolady". DAVID DUNDAS („Another Funny Hoenymoon"). Urodzony w roku 1945 David Paul Nicholas Dundas, współpracował z grupą aktorską Margate Stage Company, „zaliczył" trzy lata szkoły teatralnej, a potem... reklamował wakacje w Hiszpanii, sok pomarańczowy w proszku itd., itd. Roger Greenway, autor piosenki The Seekers, „I'd Like To Teach The World To Sing" namówił go do śpiewania. Pierwsza płyta „Jeans On" stała się przebojem! Drugi singel – właśnie „tonpressowski" „Another Funny Hoenymoon" cieszył się nie mniejszą popularnością. MARIE MYRIAM „L'oiseau i et l'enfant" piosenkę uznano za najlepszą na ubiegłorocznym festiwalu Eurowizji. Marie Myriam śpiewała ją w Sopocie... HELENA VONDRAČKOVA („Malowany dzbanek"). Komentarz chyba zbyteczny... CLIFF RICHARD" („Hey Mr. Dream Maker") Cliff Richard jest nadal akceptowany przez młodzież, choć śpiewa już prawie dwadzieścia lat! To najciekawsze nowości zagraniczne.

Płyty polskich wykonawców... Czerwone Gitary śpiewają: „Nie spoczniemy" i „Trzecia miłość – żagle" na singlu S-77, Marek Grechuta „Hop, szklanka piwa" i „Song o ciszy" – S-79, Elżbieta Starostecka „Za rok może dwa" i „Precz z moich oczu" – S-81. Maryla Rodowicz „Bossa nova do poduszki" S-84, Grażyna Łobaszewska „Gdybyś" – S-85.

KLUB SYMPATYKÓW MUZYKI

Ta informacja ucieszy zapewne kolekcjonerów zdjęć znanych wykonawców z ich autografami, plakatów, folderów, pocztówek, płyt i wydawnictw o tematyce muzycznej. Otóż przy Stowarzyszeniu Muzyki Estradowej działa od roku 1976 KLUB SYMPATYKÓW MUZYKI, którego członkiem może zostać każdy, kto wypełni deklarację członkowską, zapozna się z regulaminem i dokona wpłaty składki członkowskiej w wysokości 65 zł. Szczegółowych informacji udziela Stowarzyszenie Muzyki Estradowej 90 – 101 Łódź ul. Moniuszki 1a. Członkowie Klubu otrzymali np. w pierwszym półroczu 1977 roku barwne plakaty Anny Jantar i zespołu Dwa plus Jeden, pocztówki Jacka Lecha, Anny Jantar - płytę grupy Smokie, czarno-białe zdjęcia Maryli Rodowicz, Andrzeja Rosiewicza, Dwa plus Jeden...

„MALOWANY DZBANEK"

I NAGRODA W KONKURSIE INTERWIZJI – SOPOT 77

muzyka **Jindrzich Brabec**

sł. polskie **Janusz Szczepkowski**

Malowany dzbanku
z krumlowskiego zamku,
znasz ten czas, dobrze znasz ten czas
Gdy tu chodzka skała
na granicy stała
jak od lat, jak od wielu lat!
Jabłoni szept
i srebrne jak noc wstążki wierzb
odwieczne są
tak samo jak ptaków wiosenny ten śpiew!
Malowany dzbanku
swego wina, z pianką
nalej mi, chociaż łyk!
Hej, pięknie dudziarzu grasz
pieśni twe roznoszą ptaki w świat!
Hej, zagraj mi, jeszcze raz!
wina dzban za to ci dam!
La... la...
Malowany dzbanku
noc się kończy rankiem
cichną w nim złe i smutne sny...
Malowane szczęście
na pamiątkę wezmę
Łatwiej z nim będzie ludziom żyć.
Jabłoni szept
i żyta dojrzały już łan
zaprasza nas
jak dzieci w codzienny, wesoły swój tan!
Malowany dzbanku
swego wina, z pianką
nalej mi, jeszcze łyk!
Hej, pięknie dudziarzu grasz
pieśni twe roznoszą ptaki w świat!
Hej, zagraj mi jeszcze raz
kręci się nasz barwny dzban!
Hej, pięknie dudziarzu grasz,
pieśni twe roznoszą ptaki w świat.
Hej, zagraj mi, jeszcze raz,
wina dzban za to ci dam!

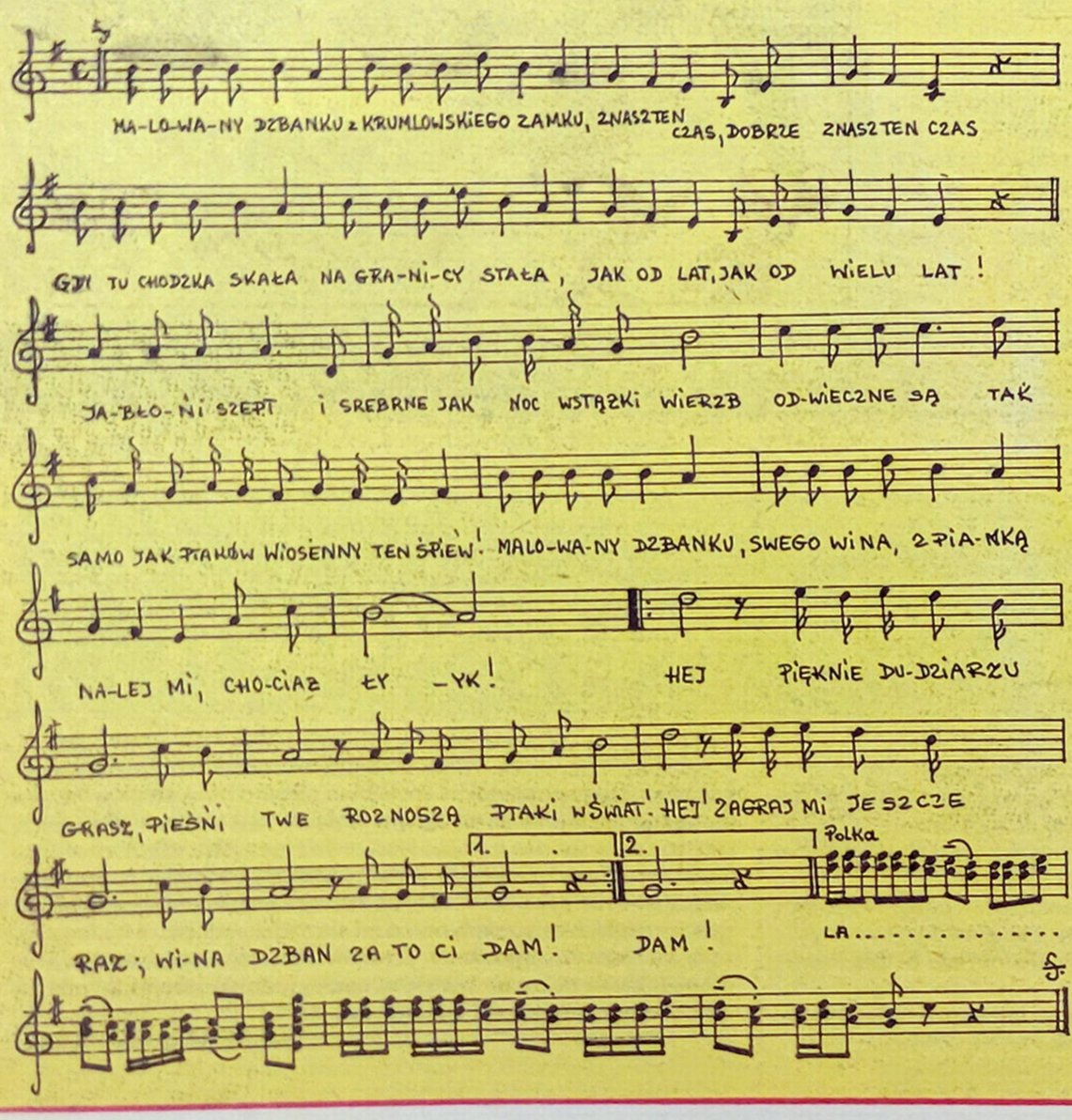

Świat Muzyki

GAZETA MELOMANÓW

Redaguje LECH NOWICKI

MUZYKA TO CAŁE MOJE ŻYCIE...

Renata Danel. Osiemnaście lat. Talent. Pierwsza nagroda na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze, pierwsza nagroda na Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu...

– Co było po Opolu?

– Przede wszystkim radość z sukcesu. Potem... Dwa miesiące spędzone w Warszawie na konsultacjach z Zofią Rudnicką, nagrania w Poznaniu, gdzie pracuje mi się znakomicie z młodymi muzykami Zbyszka Górnego... To cudowni ludzie, kochający jak ja muzykę, potrafiący nawiązać bezpośredni kontakt z wykonawcą. Drugiego takiego zespołu w Polsce chyba nie ma! Aktualnie przygotowuję kilka piosenek Zbyszka Górnego i Stasia Bartosika, trzynastego stycznia nagrywam swoje kompozycje, a w lutym rozrywkową wersję jednej z arii Mozarta...

– Co z maturą?

– O maturze nie zapomniałam. Piszę właśnie pracę maturalną pt. „Z badań nad poziomem i popularnością polskiej poezji śpiewanej". Zbieram wywiady, przygotowuję ankiety, ale to dopiero początek... Po egzaminie pisemnym z matematyki i języka polskiego, bronię pracy i jeśli zrobię to skutecznie, będę zwolniona z egzaminu ustnego...

– Po maturze...

– ...zdaję do Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach na Wydział Muzyki Rozrywkowej. Chciałabym bardzo się dostać, ale... Podobno w tym roku zostanie przyjęty tylko jeden wokalista.

– Może właśnie Renata Danel? A swoją drogą, kto jak kto, ale bezapelacyjna triumfatorka dwóch festiwali powinna otrzymać indeks bez egzaminu...

– ???

– Czy nadal intensywnie ćwiczysz?

– Oczywiście. Trzy, cztery godziny dziennie, czyli konieczne minimum. Śpiewam i gram na fortepianie – jazz przede wszystkim, słucham nagrań. Przepadam ostatnio za Stevie Wonderem, znam wszystkie jego utwory, niektóre potrafię zagrać i zaśpiewać...

– W Opolu rozmawialiśmy o Twoich piosenkach, o tym że chciałabyś także śpiewać cudze, ale...

– No właśnie, to „ale" jest nadal aktualne, choć... Liczę bardzo na Górnego i Bartosika. Obaj potrafią pisać ciekawe rzeczy, świetnie aranżują. Może napisze coś dla mnie Janusz Koman?

– Co to ma być?

– Soul, jazz, pogranicze tych dwóch stylów...

– Oglądam Ciebie w telewizji, słucham w radiu... O występach przed publicznością wiem niewiele...

– Proponowano mi udział w koncertach, ale odmawiałam. Najważniejsza jest dla mnie nauka. Wiem, że pomoże mi w osiąganiu celów i spełnieniu marzeń.

– Jakie to cele, jakie marzenia?

– Po kolei: matura, studia, dyplom magistra sztuki, aranżowanie – najpierw dla siebie, potem i dla innych...

– Wszystkie cele i marzenia ulokowałaś w muzyce...

– Tak, bo muzyka to całe moje życie...

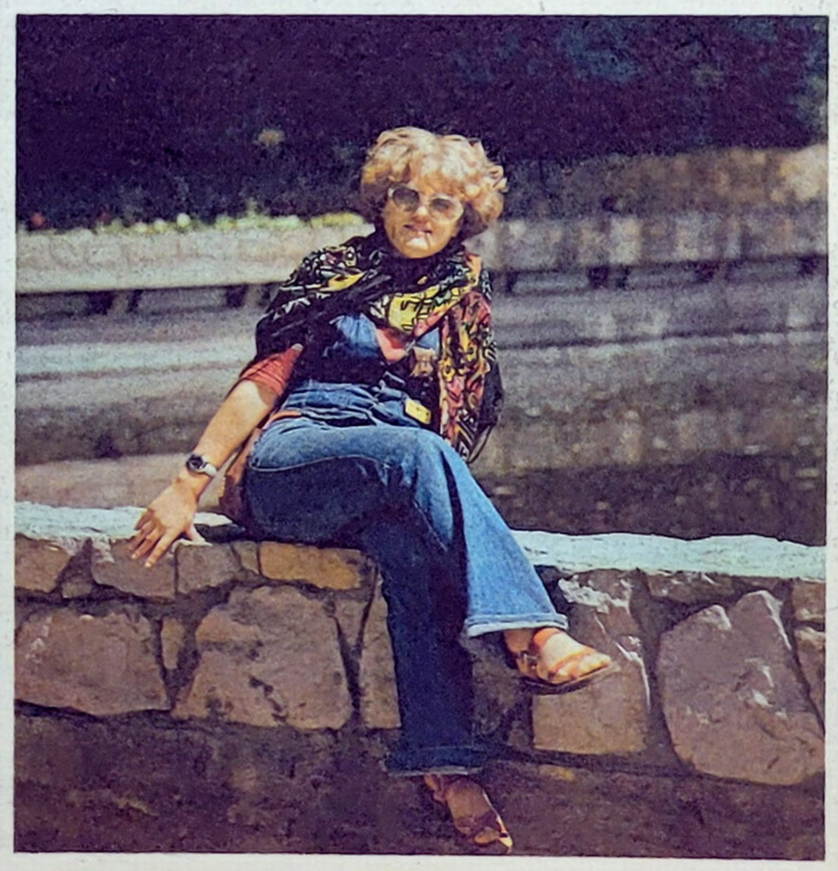

Fot. **Ryszard Radowiecki**

RÓD Z SZABLĄ W HERBIE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

– Jest różnica – przekrzykuje tupot nóg i brzęk kling. – Spójrz. Kiedyś jeden atak kończył się jednym cięciem. O tak! Natarcie było dużo krótsze, a co najważniejsze – jednakowa była długość kroku i końcowego fleszu, czyli wyskoku do przodu, który kończył atak. Łatwiej było się obronić przed takim atakiem, po prostu szybciej się człowiek orientował, kiedy kończyło się natarcie.

A teraz współczesna szermierka. Uważaj! Atakuje się niemal bez przerwy, biegnąc stale krzyżującym się krokiem. To jest bardzo skomplikowane, zawodnicy bez przerwy robią zwody ciałem, starają się odwrócić uwagę rywala, pozorują różne rodzaje ataku. Nie wiadomo, które cięcie jest rzeczywiście groźne. Jeszcze raz! Przyjrzyj się dokładnie. Bo tylko wtedy – ciągnie swój zaimprowizowany wykład i pokaz – można wygrać taki atak, gdy pilnuje się odległości od przeciwnika. Inaczej ani się spostrzeżesz jak zostaniesz trafiony, choć byłeś w lepszej sytuacji.

– A trener – opowiada przerywając walkę – miał kiedyś łatwiejszą robotę. Stał i pokazywał ruchy ręką. Im młodszy szermierz szybciej zyskał giętkość w dłoni, tym był lepszy. A teraz, sam widziałeś ile się trzeba nabiegać.

O sukcesie

Mówiono o nim wiele, ale każdy przeżywa go na swój sposób. To prawda, co opowiadają sportowcy o wzruszeniu, jakie ogarnia człowieka, gdy stoi na najwyższym podium, patrzy na flagę swojego kraju, słyszy hymn. Czułem to wzruszenie niejednokrotnie. Jak je opisać? Nie potrafię, trzeba je przeżyć samemu, bo słowa nie wystarczą. Ale ciągle krążymy na orbicie banału. Może oczekiwanie na to wzruszenie popycha do walki. To prawda, gdy zawodnicy mówią – sport jest wspaniały, bo można wygrać, pokazać, że jest się lepszym. Pokazać sobie i innym. Gdy przez kratki szermierczej maski patrzy się na przeciwnika – jest taki sam, ma równe szanse. To prawda. Ale zawsze do zwycięstwa potrzebne jest szczęście, uśmiech losu. W szabli to ważne – przychylność u sędziów, samopoczucie, gdy wychodzi się na planszę. Powiem teraz coś, co zabrzmi może aż nazbyt szczerze. Tak naprawdę nigdy nie chciałem zwyciężać tylko dla własnej satysfakcji. Wygrywałem. I tyle.

Być mistrzem? Sława mile łaskocze jeszcze teraz, po latach. Słyszę, gdy idę gdziekolwiek: O, to Gerevich! To miłe. Echo tamtych dni, gdy zwyciężałem. Echo sukcesów, jakie odnoszą synowie.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

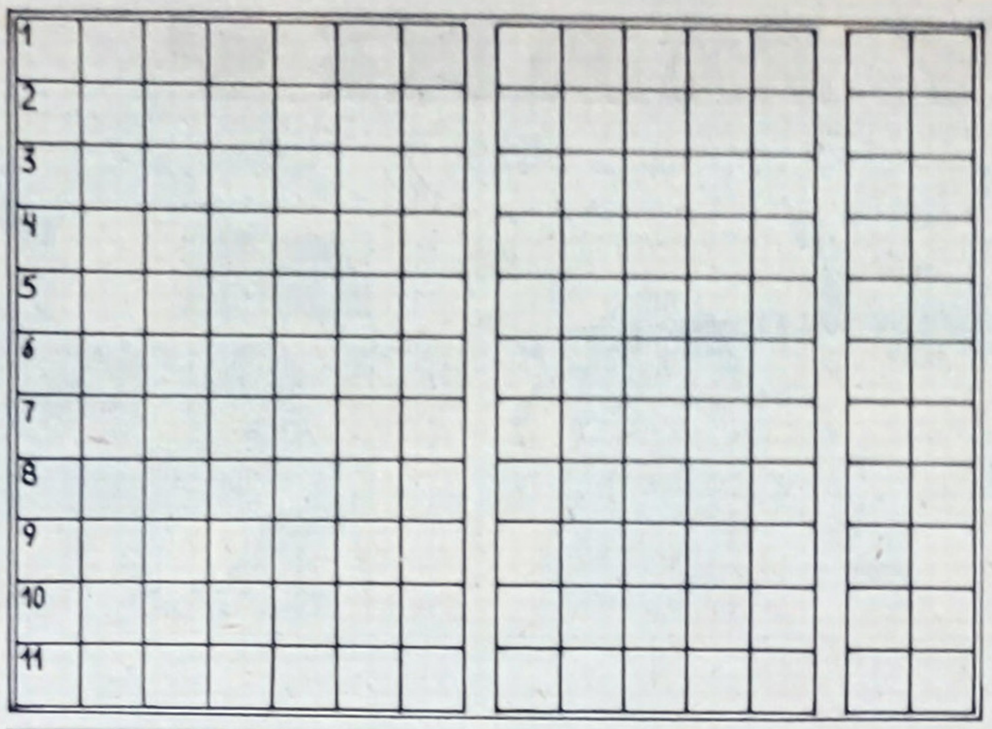

Zadanie premiowane nr 166

ELIMINATKA

Odgadnięte pary wyrazów wpisz do lewego i środkowego diagramu. Następnie litery wyrazów 5-literowych wykreśl z odpowiednich wyrazów 8-literowych a pozostałe nieskreślone litery przenieś do prawego diagramu i rzędami poziomymi odczytaj rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 166". Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW (najpierw 8-, a następnie 5-liter.): 1) warunkowe lub bezwarunkowe reakcje żywych organizmów na bodźce – pacjent, 2) część kaloryfera – „kucana" zabawa, 3) małowidło – centralny plac miejski, 4) szyje ubrania – popis, pokaz, 5) konwój – występuje na deskach scenicznych, 6) leśna krzewinka; brusznica lub czernica – ksiądz z „Pana Tadeusza", 7) zaglądasz do ortograficznego, gdy nie wiesz jak napisać jakiś wyraz – szklane naczynie, 8) dowóz – gromady zwierząt, np. krów, owiec, 9) dawne narzędzie do wytapiania żelaza z rud (możesz obejrzeć w Muzeum Starożytnego Hutnictwa Świętokrzyskiego koło Słupi Nowej) – czołowi zawodnicy jakiejś dyscypliny sportu, 10) sztuczne uśpienie przed operacją – polecenie, 11) ich ośrodkiem są Kartuzy – szklana w oknie.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 160 ze 138 numeru „Świata Młodych" z dnia 19.11.1977 r.

Prawidłowe rozwiązanie – Prawoskrętnie: krawat, sterta, kiszka, Bartek, kaczka, konina, parada, pagoda, pokost, sztych, Baryka, stopka.

Nagrody wylosowali:
Alina Bożek – Okonek, Dariusz Chmura – Słupsk, Dagmar Gil – Koszalin, Małgorzata Kostera – Lublin, Roman Mysyszyn – Wrocław, Mariola Pawlik – Opoczno, Grzegorz Thomas – Piotrków Tryb., Edward Wieliczuk – Międzyrzec Podlaski, Leszek Wróbel – Muszyna Zdrój, Grzegorz Żurowski – Piaseczno.

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dzisiejsze rozwiązywania radzę rozpocząć od łatwych zadań-błyskawic. Reszta jest „na deser". Bardzo dziękuję wszystkim, którzy przysłali mi życzenia z okazji Nowego Roku. Obiecuję, że w tym roku abrakadabrowe zadania, zagadki i łamigłówki będą jeszcze ciekawsze niż dotychczas.

Przypominam wszystkim początkującym rozwiązywaczom Abrakadabry, że przysyła się do redakcji tylko rozwiązania zadań premiowanych. Inne rozwiązuje się dla własnej przyjemności i treningu szarych komórek, a rezultaty sprawdza się za tydzień w rozwiązaniach.

No, to cześć!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

KOŁO, KWADRAT CZY TRÓJKĄT?

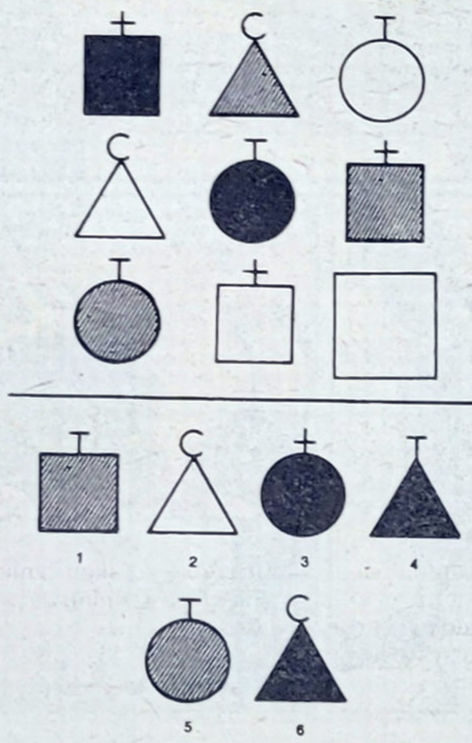

Starzy bywalcy Abrakadabry znają już dobrze ten typ zadań logicznych. Chodzi o to, by w pusty kwadrat wrysować dziewiątą figurę układu. Spośród przedstawionych pod kreską figur pasuje w to miejsce tylko jedna. Pomyśl – która i dlaczego? Zapisz też jej numer i sprawdź za tydzień w rozwiązaniach.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

ŚWIĄTECZNY WESTERN ABRAKADABRY: tylko wozy nr 1 i 7 są takie same. ZASZYFROWANE ŻYCZENIA BEN AKIBY: należy ułożyć jeden pod drugim paski w następującej kolejności: c, b, d, a, po czym odczytać życzenia wężykiem, zaczynając od lewego górnego rogu w dół. LICZBOWY ZEGAR: A=7, B=5, C=9; wzór ogólny 4n + 3.

SPACER WŚRÓD PSZCZÓŁ: a) taki obchód jest niemożliwy, b) najkrótsza trasa wynosi 75 metrów i przedstawiam ją na rysunku.

KARNAWAŁOWA PRZYGODA ROBOTA: właściwa kolejność – to 2, 4, 1 i 3.

ZADANIA-BŁYSKAWICE

Są malutkie i pozornie bardzo łatwe. Można na nie odpowiadać błyskawicznie, ale wtedy zazwyczaj taka odpowiedź jest fałszywa. No, bo popatrzmy:

1) Krawiec ma sztukę podszewki długości 30 metrów. Co dzień krawiec odcina od tej sztuki po 5 metrów. W którym dniu odetnie on ostatni raz?

2) Uczeń rozwiązuje pewne zadanie przez 60 minut. W ciągu ilu minut to samo zadanie może rozwiązać 10 uczniów?

DZIEWIĘĆ PÓL

8	13	7
11	7	6
10	14	?

Trzy poziome pasy, po trzy pola w każdym, tworzą razem dziewięć pól. W ośmiu polach znajdują się już liczby, dziewiąte zawiera znak zapytania. Zadanie polega na tym, byś ty właśnie wpisał w to pole odpowiednią liczbę, wynikającą z całego układu. Podszepnę ci, że musisz dokładnie przeanalizować zależność między dwoma pierwszymi liczbami a trzecią liczbą w każdym rzędzie.

BUFFALO BILL I BIZON

Oto słynny Buffalo Bill w pościgu za bizonem. Doświadczeni znawcy spraw prerii poznają jednak na pierwszy rzut oka, że coś na tym rysunku nie jest w porządku.

Rzeczywiście, cienie rzucane przez zwierzęta i myśliwego nie we wszystkich szczegółach odpowiadają prawdzie. Przyjrzyj się uważnie, a odszukasz aż osiem błędów na cieniu. Spiesz się, ta scena odbywa się w wielkim pędzie!

bańka pękła z hukiem i w nos uderzył ostry zapach gazu, kot podskoczył i wrzasnął. Nie ze strachu oczywiście, ale dlatego, że było to tak nieoczekiwane.

Antonow przestał czytać i popatrzył w stronę wieży.

– Czemuż to Siemion krzyczy wniebogłosy? Poleć no Sania i zobacz. Sania zwinnie wstał i podbiegł do wieży. A po chwili sam zaczął krzyczeć:

– Chłopaki, gaz! Hura! Zatrzymać maszynę!

Wszyscy rzucili się do wieży. Zatrzymali świder. I zaczęli skakać z radości zachwycając się pęczniejącymi i pękającymi gazowymi bańkami. Krzyczeli: Gaz! Gaz! Gaz!

– A przecież, gdyby nie Pręgowany, to przegapilibyśmy – rzekł siwy mechanik Pismiennyj. – Przekroczylibyśmy poziom gazu. I kropka.

Wszyscy z szacunkiem popatrzyli na Siemiona Pręgowanego. A ten jakby nigdy nic siedział na pokrywie silnika i mył się łapą.

– Przyjmijmy kota do brygady! – zażartował Sania i pogłaskał go po grzbiecie. – Zuch z niego nie lada.

– Posłuchaj Alewtino – zwrócił się Antonow do mamy Lenki – co twój kot lubi najbardziej?

– Co lubi? Mleko skondensowane, jasna sprawa.

– Wydać kotu puszkę mleka! – zarządził brygadzista. – Trzeba go wynagrodzić za pracę!

– A wy pewnie myślicie, że tylko psy się nagradza za pracę, za pomoc i za odwagę? Tak myślicie i nie chcecie głosować za kotami.

Gdy kończyło się lato, kończył się też dzień. Słońce wpadało do jakiejś dziury – na pewno w tundrze jest gdzieś taka dziura – i następowała długa zimowa noc. A może słońce nigdzie nie wpadło, tylko nad tundrą rozpostarła się ciemna kopuła i ono zostało na zewnątrz? Ta kopuła jest stara, cała w drobniutkie dziureczki. I przez nie przenikają kropelki dalekiego słońca.

Tak myślała Lenka przyglądając się malutkim gwiazdkom. Kiedy nieoczekiwanie zapalała się zorza polarna, Lence wydawało się, że słońce wzięło szturmem czarną kopułę i chmury płoną jak jej porozrywane, kolorowe frędzle.

Lenka spała w swym wąziutkim, skrzypiącym łóżeczku. A Siemion drzemał w jej nogach, na kołdrze.

– Nie wpuszczaj kota na kołdrę – mówiła Lence matka.

– Dobrze – odpowiadała.

A kot w tym czasie siedział pod łóżkiem i czekał, aż zgaśnie światło. Wtedy cichutko wskakiwał na kołdrę i zamierał w bezruchu. Lenka leciutko szturchała go nogą – niby, że wszystko w porządku i zasypiali.

Lenka i kot nigdy nie chorowali, nigdy nie było im nudno. To, co ona jadła, dostawał i on. Nawet kiszone ogórki polubił.

Wschodził księżyc i rozświetlał polarny dzień. Księżyc był równiutki, niczym narysowany cyrklem. Świecił tak jasno, jakby spadł na nim śnieg i promienie słońca odbijały się nie od martwych kamieni, a od świeżego śniegu. Właśnie pewnego takiego dnia pod domek Lenki zajechał psi zaprzęg. Psy powaliły się w śnieg, by odpocząć. Szła z nich para. Z sań wysiadł człowiek ubrany w długie reniferowe futro. Rzucił psom suszone ryby, by nie ujadały i zaczął na coś czekać.

Gdy mama Lenki wyszła z domu, człowiek w futrze zagrodził jej drogę i rzekł:

– Przyjechałem po ciebie, Alewtino.

– Nigdzie z tobą nie pojadę, Kokoba – odrzekła.

Lecz on stał wciąż przed nią.

– Pojedziesz – odpowiedział stanowczo i ruszył w jej kierunku.

– Puść mnie! – próbowała oburącz go odepchnąć.

Ale wtedy dwie wielkie, jak łopaty ręce złapały ją tak mocno, że tylko zdążyła krzyknąć:

– Lenka! Kokoba!

A on już niósł ją do swego psiego zaprzęgu. Szamotała się jak ogromna ryba. Lecz mechanik z brygady Samsonowa był silny i uparty.

– Len...ka! Ko...

Zatkał jej usta, położył na sanie i zaczął przywiązywać sznurkiem.

Lenka usłyszała wołanie matki. Wybiegła z domu. Siemion za nią. Wiatr rozrzucał poły rozpiętej futrzanej kurtki, buty z jeleniej skóry żałośnie zaskrzypiały na zamarzniętym śniegu. Kot pierwszy dobiegł do rogu domu i „zrobiwszy wielbłąda" zasyczał. Lenka rzuciła się za nim i spostrzegła psy. Zobaczyła też Kokobę, który coś przywiązywał do sań.

– Puść, łotrze!

Cdn.

MiNi CZY MAXi ?

TEKST I RYSUNKI SZARLOTA PAWEŁ

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-43
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata: Książka miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, rocznie 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch", w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji i szkół w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne: Szarlota Paweł

Redakcja techniczna: Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" Warszawa

Nr zam. 8083/G F-74

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

JURIJ JAKOWLEW

tłum. Andrzej Konstantynowicz

Lenka i Siemion nie lubili Kokoby za zapach żelaza, za nieludzko wielkie ręce, za głos, za kusą marynarkę – za wszystko! Kilka razy Lence udało się podsłuchać rozmowę matki z Kokobą. Chodziło wciąż o to samo.

– Zamieszkajmy razem – mówił Kokoba i obciągał rękawy, jakby chciał je wydłużyć.

– Nie chcę! – odpowiadała matka.

– Ciężko ci żyć tak samotnie w tundrze, mając córkę na karku.

– Nie martw się!

– Nie mogę bez ciebie żyć, Alewtino!

– A ja ciebie nie kocham!

Ot i cała historia. Ale Kokoba nie chciał się z tym pogodzić. Długo nalegał, obiecywał, namawiał. Jego głęboki głos brzmiał monotonnie i nudnie. Kończyło się na tym, że matka wyganiała go.

– I tak będziesz moja – odgrażał się zaciskając pięści i odchodził. Po drodze wrogo spoglądał na Lenkę i szukał okazji, by Siemionowi dać kopniaka. Jakby oni właśnie byli przyczyną jego niepowodzeń. Potem wskakiwał na swojego Konika Garbuska i mknął z powrotem. Kot wyginał grzbiet naśladując wielbłąda i syczał w ślad za nim. A Lenka pokazywała nieproszonemu gościowi język. Cóż mogli zrobić poza tym?

Mama Lenki pracowała jako geolog-kolektor. Zbierała próbki gruntu. Była milczącą i raczej nietowarzyską kobietą. Tylko „dzień dobry" i „do widzenia". Najpierw w brygadzie podśmiewali się z niej. Potem dali spokój. Jak już jest takim milczkiem, niech tam sobie milczy.

Lenka często wspomina swój dom w tundrze. Jakiż był mały, całe umeblowanie stanowiły dwa łóżka, stół, taborety i kredens. Nie był to normalny kredens, sklecono go ze skrzynek na sprzęt i powieszono na ścianie. Wspomina też imperatora Napoleona. Jego zdjęcie wisiało nad łóżkiem mamy. Francuski władca miał na głowie dziwny kapelusz w kształcie trójkąta, a ubrany był w długą marynarkę. Nikt w brygadzie Antonowa nie miał takiej długiej marynarki i takiego kapelusza. Czasami matka opowiadała Lence o tym Napoleonie. Pracował jako marynarz na trawlerze, pływał aż na Atlantyk po śledzie. Pewnego razu trawler nie wrócił. Zatonął wraz z Napoleonem. W ogóle to on miał na imię Kostia i chodził w normalnej marynarce i czapce, a Napoleona grał tylko w klubie. Był Lenki ojcem.

Dziewczynka rzadko myśli o ojcu i wyobraża go sobie tak, jak tego z portretu. Kiedyś w internacie spytano ją:

– Kto jest twoim ojcem?

– Napoleon – odpowiedziała – ale nazywali go Kostia...

Siemion Pręgowany najbardziej lubił skondensowane mleko. Lubił je bardziej niż świeże ryby i niż suchą pachnącą kiełbasę, którą czasami przywozili do ich stacji. Najsłodszym jego marzeniem było choć raz w życiu zjeść całą puszkę takiego mleka. I zdarzyło się, że jego marzenie się spełniło. Zupełnie nieoczekiwanie, tak jak to zwykle spełniają się marzenia.

Był normalny dzień pracy. Obok wieży warczał silnik. Miarowo pracował świder. Lał się gęsty, przypominający kawę z mlekiem gliniany roztwór. Obracała się kolumna rur. Robotnicy siedzieli obok – majster Antonow czytał im gazetę. A Siemion leżał na swym ulubionym miejscu – na ciepłym kadłubie motoru. Od czasu do czasu otwierał jedno oko i znów zamykał, jakby gasił zieloną lampkę. I wtem zdarzyło się coś takiego, że Siemion aż podskoczył na swoim miejscu i zawrzeszczał. Przed jego nosem w płynnym glinianym roztworze powstała bańka, podobna do mydlanej, jakie puszczają dzieci. Któż jej nie widział? Ale gdy

Dokończenie na str. 7